

Doktor Chichot prywatyzuje

27 sierpnia 2008

Platforma ostro przyspieszyła. Jej gabinet rządowy zarzucił Sejm ważnymi projektami ustaw.

PO obaliła tym samym zarzuty swoich dworskich krytyków, coraz śmielej kręcących nosem, że drużynie Tuska, którą jeszcze niedawno wychwalali, brakuje tak koncepcji, jak woli działania. Formacja sprawująca władzę i jednego, i drugiego ma całkiem sporo. Niestety, jej pracowitość przynosi takie efekty, że mróz chodzi po kościach.

Wspólnym mianownikiem projektów rządowych jest, oczywiście, prywatyzacja. Zdumiewa, że jej wymiar ma być aż tak totalny. Gdyby zamierzenia PO się spełniły, przekształcone w spółki handlowe, a następnie wystawione na przetarg zostałyby dosłownie wszystkie struktury służby zdrowia. Ustawodawca nie dokonuje rozróżnień między szpitalami, przychodniami i aptekami. Do prywatyzacyjnego worka wrzuca nawet placówki medycyny więziennej.

Plany te przeraziły nawet Konstantego Radziwiłła: jednego z bossów korporacji lekarskiej, który słynie jako weteran bojów o sprywatyzowanie państwowych dotychczas instytucji zdrowotnych, a szczególnie ich dającego się popłatnie eksploatować wyposażenia. Bo i rzeczywiście, aż strach się bać, ile naprędce organizowanych przetargów okaże się przekrętami, ile drogocennego nieraz wyposażenia się zmarnotrawi itd. A co stanie się z ośrodkami medycznymi, w które – ze względu na ich nierentowność – żaden prywatny właściciel nie zechce na dłuższą metę inwestować? Grupa interesu, która wołała o prywatyzacyjne tornado, trochę za późno zauważyła, że może ono i ją uszkodzić.

W innych dziedzinach, które państwo Platformy chce wypuścić na wzburzone wody rynku, zapowiada się niemniej groźnie.

Nauczycielski związek zawodowy może trochę przesadza, ostrzegając przed katastrofą w szkołach, które – jak chce rząd – zostaną czym szybciej, tym lepiej przekazane samorządom. W jego ocenie, dojdzie tam do masowych zwolnień, nie mówiąc o załamaniu się jakości kształcenia. Władze lokalne nie mają bowiem pieniędzy, od których wydawania chcą się uwolnić decydenci budżetu centralnego. Siłą rzeczy, pozbędą się więc sporej liczby (może nawet 100 tys.) pedagogów, a tych, których oszczędzą, zmuszą, żeby pracowali jak najdłużej i w przeładowanych klasach. Bankructwa szkół, które trafią pod patronat najuboższych samorządów, też nie da się wykluczyć.

Jeżeli nawet pojedyncze pomysły reformatorskie Platformy mogą wydawać się całkiem niezłe, to szersza perspektywa, w której są umieszczone, je psuje. I tak, rząd Tuska słusznie chce zredukować, przez obcięcie jej habilitacyjnych wierzchołków, bizantyjską hierarchię tytułów w szkolnictwie wyższym. Z urzędników chełpiących się rangami i orderami, naukowcy mają się jednak zamienić w specjalistów od funkcjonowania na rynku. Nabywając umiejętności sprzedawania się, ograniczą oni jeszcze bardziej swe intelektualne zainteresowania i kompetencje. A sieć krajowych uczelni – naśladując strukturę Unii Europejskiej w tym, co w niej szczególnie wątpliwe – podzieli się na regiony o pierwszej, drugiej i setnej prędkości rozwoju.

Żaden niebezpieczny element propozycji rządowych nie wynika z niedbalstwa czy braku fachowości. Tak po prostu będzie, bo i być musi: dostęp do usług, świadczeń i szans rozwoju, im bardziej, przynajmniej powierzchownie patrząc, osiągnie poziom europejski, tym ostrzej zostanie ograniczony. Wąskie wierzchołki względnej cywilizacji oprą się na rozległym podłożu trwałej beznadziei.

Tak odsłania się ponure drugie dno medialnych deklamacji o równie życzliwej ludzior, co łagodnej Platformie. Zapewniano, że ugrupowanie Donalda Tuska, uciekiniera z Unii Wolności, wyciągnęło wnioski z błędów jego poprzedniej partii. Jego

stratedzy zrozumieli rzekomo, iż politykowi nie wolno kreować się ani na mędrca, ani na nieomylnego przywódcę. Swoją rolę określili skromnie, to znaczy – usługowo. Nie przypadkiem jego lider, zamiast płodzić górnolotne eseje o zadaniach intelektualisty w historycznym dziele przywracania Polski Europie, zadowolił się zredagowaniem numeru tabloidu. Musimy słuchać ludzi, aby im dawać, czego chcą – zaleciło sobie kierownictwo Platformy – gdyż jedynie pod tym warunkiem czeka nas kilka spokojnych kadencji u władzy.

Zerwanie Unii z – cechującym unitów wolności – narzucaniem twardego kursu reform wiązać się miało z szerszymi przemianami społecznymi. Po – względnie obok – rewolucji konserwatywnej, która próbowała ustanowić IV RP, dokonała się jakoby bardziej od niej udana rewolucja liberalna. Wskutek niej, polska zbiorowość zaakceptowała kapitalizm, który szokowym trybem jego wprowadzania przyniósł wcześniej sporo cierpień i rozczarowań. Za to obecnie prawie każdy, kto chce i trochę potrafi, wzbogaca się dzięki zarobkowym wyjazdom na Zachód, korzysta mniej czy bardziej bezpośrednio z funduszy rozdzielanych przez Brukselę i w efekcie nabywa pożądane dobra materialne. Słowem, cośmy znieśli w przeszłości, niech możliwie najgłębiej się schowa w pamięci, a teraz bogaćmy się w pokoju.

Platforma, jednakże, liczy się z ostrzegawczymi sygnałami sondażowymi tylko na powierzchownym planie budowania swego PR. Tusk, Schetyna, Komorowski i spółka prowokują do niezbyt dla nich miłego skojarzenia z horrorem o doktorze Chichocie. Osobnik ten, na pierwszy rzut oka, prezentuje się sympatycznie, choć tak sobie błyskotliwie. Ma jednak przykry nałóg: lubi przeprowadzać amatorskie operacje usuwania serca. Dla pacjentów, którzy trafili pod jego kuratelę, jest już za późno mniej więcej na wszystko. Pozbawieni zostają nawet szansy, by stwierdzić, że stało się z nimi coś złego. Platformie, oczywiście, trudno przypisywać aż tak skrajnie złowrogie zamiary. Ale, jeśli jej wizja sprywatyzowanej

medycyny się urzeczywistni, niejedno serce zatrzyma się przedwcześnie. Rewolucja liberalna jeszcze udowodni, że również – i zwłaszcza – ona potrafi być drapieżna.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Obywatel](#)